GŁOS NARODU

# WINOWAJCY.

## GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

„Działalnością tych urzędów tak kieruję, aby wreszcie krajowi odjęty został powód do skarg na dowolność rządów biurokratycznych. Zadanie to nie jest łatwe, jeżeli się zważy, że polityczna administracja zostawała tak długi czas w rozstroju, że wszędzie pomiędzy urzędnikami cyrkularnymi panowała dążność do nadania przewagi własnej opinii, że nie przywykli oni wznosić się ponad codzienną rutynę biurową i widzieć w aktach nietylko numer, który z biurka uprzątnąć trzeba, lecz sprawy, na kraj oddziaływające, że wreszcie uroili sobie, iż ich służba jest czemś samodzielnie dla siebie, a nie dla dobra kraju istniejącem. Wspierany przez wiceprezydenta *), odznaczającego się wybitnemi zdolnościami, dokładną znajomością stosunków krajowych i bezwarunkowo dobrą wolą, postawiony na czele gremium gubernialnego **), które dla swojej uczciwości, inteligencji i dobrych chęci zasługuje na najwyższy szacunek, mam nadzieję, że spełnię powyższe zadanie w sposób odpowiedni. Jednakże wszystkie te starania nie wydadzą znacznych rezultatów, dopóki nieudolność administracji nie zostanie u dołu usunięta przez zaprowadzenie państwowych pierwszych instancji, i dopóki kraj nie przyjdzie do przekonania, że rząd austrjacki rzeczywiście pragnie jego dobra i dąży do tego nietylko samem pisaniem, lecz i działaniem. Pierwszym warunkiem takiej zmiany jest to, żeby rząd przejął się życzliwością dla kraju, żeby życzliwość tę okazywał, a korzystając z danych wypadków, w których życzliwość czynem stwierdzić można, dowiódł, że nie żywi złości wobec nieszczęśliwego kraju, a surowością powoduje się tylko wtedy, gdy to jest koniecznem, lecz nie z niechęci do kraju i ludności. Zaprowadzenie pierwszych instancji zostało cesarskiem słowem poręczone. Ze stanowiska sprawiedliwości i polityki, jest to konieczność nieodzowna. Niebawem będę mógł przedstawić najwyższemu kanclerzowi moje szczegółowe wnioski i już naprzód proszę Waszą Ekscelencję o ich poparcie w interesie rządu i kraju, gdyż bez uregulowania tej sprawy, dobra administracja jest absolutnie niemożliwą. Każda, chociażby najpilniejsza naprawa administracji i wszelka akcja dla dobra kraju rozbija się o brak organów wykonawczych. Urzędy cyrkularne ani są powołane do tego, ani nie rozporządzają środkami, potrzebnemi do zajmowania się szczegółami administracji, i właśnie dlatego, że, mimo to wszystko, muszą być do tego używane, bez możności podołania zadaniu, że zatem zupełnie zaniedbywać muszą swoje powołanie, jako władze kierujące i nadzorujące, wszystko źle się dzieje w tym prawdziwie nieszczęśliwym kraju. Smutnem następstwem tych wymagań, nie stojących w żadnym stosunku do sił urzędów cyrkularnych, jest wzburzenie, panujące między ludnością wiejską. Skargi poddanych są późno i niedbale badane, dochodzenia w tych

*) Wiceprezydentem gubernium był wtedy po odejściu bar. Kriega Filip bar. Krauss (poprzednik Agenora hr. Gołuchowskiego). Bar. Krauss, tak na posadzie wiceprezydenta gubernialnego we Lwowie, jak i później, na stanowisku ministra skarbu (w roku 1848), zjednał sobie opinię zdolnego i prawego urzędnika. (Przyp. aut.).

**) Gremium to nie posiadało samodzielnych atrybucji, lecz słuchało niewolniczo komendy każdoczesnego kierownika swojego. (Przyp. aut.).

sprawach ciągną się w nieskończoność, a całe lata powtarzane prośby i nalegania pozostają nieuwzględnione. Nic dziwnego zatem, że poddani wpadają na myśl samopomocy i mniemając, że władze popierają interesy dworów, wpadają w remitencję. Najważniejsze sprawy poruczane być muszą niedoświadczonym komisarzom cyrkularnym, praktykantom a nawet urzędnikom manipulacyjnym. Ztąd wynika bardzo często powód do podejrzewania uczciwości administracji i narzekania na samowolę jednostek, gdyż każdy stara się tylko pozbyć się sprawy, i dla zyskania czasu, raczej rozciąć węzeł, niż rozwikłać, utrudniając tem załatwienie rozpraw. Nadto lud bywa w ten sposób w błąd wprowadzany, gdyż urzędnik, nie pojmując często swojego zadania, w razie powstania skrupułów i wątpliwości, zamiast oświecić ludność wiejską, zbywa ją czczemi nadziejami i schlebia jej pożądliwości fałszywemi przyrzeczeniami, aby tylko wydobyć się z kłopotliwego położenia. Do mojej wiadomości doszło już kilka wypadków takiego bałamucenia ludności wiejskiej, a nawet podczas mojej ostatniej wizytacji kilku obwodów widziałem się zniewolonym w pewnej gminie na miejscu naprawić błąd, popełniony przez urzędnika cyrkularnego, i gminę stosownie pouczyć. Poleciłem także starostom najdobitniej, aby przynajmniej do najważniejszych czynności urzędowych używali tylko komisarzy, na których zupełnie spuścić się można. Zbyt często będzie to tylko pobożnem życzeniem, dopóki nie ma pierwszych instancyj. Zwróciłem się także do ordynarjatów z usilną prośbą, aby przez duszpasterzy pouczać ludność wiejską o jej obowiązkach wobec rządu i właścicieli ziemskich. Chcąc obmyślić środki zapobieżenia niedostatkowi w zachodnich okolicach górskich, niedawno sam je objeżdżałem.

„Zaniepokojenie szlachty z powodu regulacji pańszczyzny niezawodnie ustąpi, skoro tylko ona przyjdzie do przekonania, że rządowi nigdy na myśl nie przyszło, a wobec jego znanego poczucia sprawiedliwości nawet na myśl przyjść nie mogło, ograbienie posiadaczy prawnych w tym celu, aby poddanym ofiarować podarunek. Nie wątpię i nigdy ani na chwilę nie wątpiłem, że każdy, kto straci cokolwiek ze swoich prawnych dochodów, otrzyma odszkodowanie. Najwyższe postanowienie z 22 lutego 1847 roku uspokoi dziedziców, skoro podane zostanie do powszechnej wiadomości *).

„Wielce nad tem ubolewać należy, że władze tak długo zwlekały kroki sądowe przeciw tym chłopom, którzy wierność dla monarchy uważali za płaszczyk, aby pod jego osłoną mordem, pożogą, rabunkiem i plądrowaniem wielką część kraju pogrążyć w nieszczęście. Nad tem zwlekaniem tem więcej ubolewać należy, ile że ono doprowadziło do nieszczęsnego zamącenia pojęć o prawie i bezprawiu, o dobrem i złem, a nieprzyjaciołom rządu dostarczyło powodu do rzucenia nań najhaniebniejszych kalumnii w kraju i zagranicą. Śledztwa przeciw niektórym mordercom i rozbójnikom tej kategorji zostały już przekazane sądom kryminalnym, a rozległe dochodzenia są jeszcze prowadzone. Chociaż zaniedbanie pozostanie zawsze błędem, ubolewania godnym, już dla tego, że z powodu niemożności zupełnego stwierdzenia istoty czynu niejeden zbrodniarz ujdzie karze sprawiedliwej, to jednak władze dążyć będą do tego, aby w obrębie zakreślonych im granic sprawiedliwość została wymierzona, jak tego prawo wymaga, i o ile to po upływie dwudziestu trzech miesięcy jest jeszcze możliwem.

„Że przyszło do takich scen okropnych, to wielkie nieszczęście, za które przed Bogiem i własnem sumieniem odpowiedzialni są ci, co sprowadzili je nieoględnością, lub przecenieniem własnego zdania i własnej odwagi. Pewną jest bowiem rzeczą, że w wielu cyrkułach chłop stanął w obronie rządu, nie popełniając przytem ani ekscesów, ani okrucieństw, dzięki rozwadze i energii mężów, którym poruczone było kierownictwo cyrkułów, którzy umieli utrzymać spokój i porządek. Jest to przykra sprawa, którą podnoszę, ale, niestety, prawdziwa. Nic nie uczyniono dla zapobieżenia wybuchowi powstania, a gdy ono wybuchło, nikt nie był ani zdecydowany, ani przygotowany na stłumienie własnemi siłami. Zwycięztwo przyszło ztąd, zkąd go nie oczekiwano. Po zwycięztwie przyszła odwaga, a tylko rozum nie odezwał się. Myślano długo jeszcze o zwycięztwach, chociaż nie było już nieprzyjaciela, a tylko chłop rozwścieklony mordował i rabował. Jeżeli już tych, którzy w chwili niebezpieczeństwa głowy potracili, nie może dosięgnąć ramię sprawiedliwości, to nie może ono przecież oszczędzać tych, którzy w tych opłakanych czasach nadużywali swojego stanowiska urzędowego, aby ludność wiejską pobudzać do ekscesów, zachęcać ją do mordowania i rabowania, albo nawet w tem uczestniczyć.

(C. d. n.)

# MAROKKO.

## Z KRAJU DALEKIEGO ZACHODU.

(EL MOGHRIB-EL-AKSA).

(Dokończenie.)

Rozumie to przedewszystkiem Francja, która prawdopodobnie wysunie przeciwko powstańcom swego długoletniego sprzymierzeńca, Mulej-Alego, szeryfa Wazzanu, jednego z najgłówniejszych wassalów Abdel-Azisa i jednocześnie przywódcy t. zw. tajebów, bardzo rozgałęzionego

*) Niezupełnie ziściła się nadzieja hr. Stadiona, gdyż nie cofnięto fatalnych zarządzeń jego brata, Rudolfa, lecz tylko umożliwiono pewne złagodzenie złego. (Przyp. aut.).

bractwa maurytańskiego. Mulej-Ali pochodzi od założyciela pierwszej marokańskiej dynastji Idrydów, i mógłby ewentualnie nawet zająć tron sułtański, co oznaczałoby poniekąd poddanie Marokka pod protektorat francuzki.

Stokroć niebezpieczniejszą od senussitów jest sekta t. zw. *aissauia*, szeroko rozgałęziona przeważnie na południu, w ziemi Sus i Draa i na pograniczu Sudanu. Dziwaczna ta sekta, której początek i powstanie dotychczas jeszcze nie zostały zbadane, zdaje się uosobieniem ducha askezy arabskiej, a treścią nauki jej wyznawców jest przekonanie, że człowiek tylko przez cierpienie z bóstwem zlać się może. Tylko że to pragnienie cierpienia nie wypływa, tak jak u buddystów, z dążenia do nirwany, ale wybucha nagle pod wpływem chwilowej ekscytacji, widoku krwi, łoskotu bębnów i wycia piszczałek.

Procesję tych fanatyków (podczas której europejczykom nie wolno pokazywać się na ulicy) widziałem w Mogadorze z płaskiego dachu domu jednego z miejscowych konsulów. Już wczesnym rankiem gruchnęła w mieście wiadomość, że popołudniu nadciągnie procesja tych biczowników arabskich w pochodzie z prowincji Sus do świętego miasta Mekinez. Około trzeciej procesja stanęła przed główną bramą (Bab-el-Masra), wyszliśmy więc na dach, aby się jej przypatrzyć.

Zdala toczyła się zwarta ława głów ludzkich w denerwującem tempie muzyki jańczarskiej i migotały różnokolorowe proporce i duże zielone sztandary, a na spotkanie procesji biegły z miasta tłumy przez wązkie wrota i rozlewały się szeroką strugą na pochyłości warowni. Do miasta weszło wreszcie czoło procesji, nagie dzieci o skórze od słońca spalonej, dobosze w białych koszulach, surmacze murzyńscy i przystrojeni kosmate „dżillaby" muzykanci, dmiąc w przeraźliwe piszczałki i flety. Rozpoczął się taniec dziki, konwulsyjny, z pianą na ustach, podobny do przedśmiertnych drgawek w chwili konania, bezmyślny, szatański a potępieńczy. Co chwila wypadał z tłumu do koła arab lub murzyn, nagi, tylko w przepasce na biodrach, a kręcąc się w szalonym ruchu, padał na ziemię, gryzł kamienie i piasek, potem wyrywał kindżał z za pasa, i słychać było tylko, wśród wrzasku tłuszczy łoskot tępych uderzeń po golonej czaszce, a na ramiona spływały mu obfite strugi krwi czerwonej. Tymczasem jedni, patrząc się na to, biegli do środka, a porywając barany i koźlęta z karawany, co szła na procesję, rozrywali je żywcem i wpychali sobie do ust olbrzymie kawały dymiącego krwią mięsa, drudzy połykali żywcem żmije i gryźli skorpjony, inni kłuli się sztyletami i wyli z bolu i rozkoszy. Lecz zakołysały się znowu proporce, i procesja ruszyła przez wązkie wrota, a na jej czele szedł olbrzymi, niby z bronzu ulany sudańczyk, prowadzony pod ręce przez innych, i mdlejąc od utraty krwi, ostatnim wysiłkiem uderzał się po głowie ostrzem sposoczonego kindżału.

Uruchomienie fanatycznej ludności w Marokko przez sprytnego wodza, rozwijającego sztandar wojny świętej, może pociągnąć za sobą bardzo poważne skutki. Ekspedycję wojsk europejskich czekałaby niewątpliwie długa wojna partyzancka w kraju, pozbawionym wszelkich środków komunikacji, a zamieszkanym przez wojownicze pokolenia.

A tam dalej na południe, za Mogadorem (ostatni port marokański, otwarty dla handlu europejskiego) czuć już przedsmak prawdziwej pustyni...

* * *

Pod wielu względami przypominają maurowie owe wątłe, delikatne, nerwowe dzieci, którym wybujała wyobraźnia podsuwa szereg nieistniejących wypadków i zdarzeń, uważanych przez nie nieświadomie za prawdziwe. To samo i arab. Spędzając większą część dnia i nocy na ciągłem upajaniu się haszyszem, zatraca on powoli możność rozróżniania rzeczy prawdziwych od mglistych obrazów halucynacyj, jakie mu w tem nawpół uspieniu przed oczyma duszy stają. Rzeczywistość w pomieszaniu z tworami wyobraźni sprawia, że cały świat wydaje mu się niejako płodem fantazji. Z takiego usposobienia wypływa brak poważnego zainteresowania się czemkolwiek w życiu, lenistwo, ociężałość i apatja umysłowa, a wrodzona naturze ludzkiej żądza poznawania rzeczy nieznajomych znajduje zaspokojenie w pospolitem gapiostwie lub w dociekaniu, coby było, gdyby nic nie było.

Gorący klimat wpływa osłabiająco na cały organizm, żyzność gleby przy nieznacznym nakładzie pracy zaspakaja obficie niewybredne potrzeby ludności miejscowej, a wiara w przeznaczenie odbiera do reszty wszelką chęć starania się o dobro doczesne. Umierającego z głodu nędzarza pociesza prawowierny muzułmanin tylko jednem słowem *kiszmet* (przeznaczenie), i żebrak bez szemrania poddaje się swemu losowi!

Lenistwo arabów jest równie przysłowiowe, jak ich gościnność. Stawając nieraz na nocleg podczas mej wycieczki w wioskach kabylów, byłem zawsze pewny lepszego przyjęcia. Ponieważ arab za gościnę pieniędzy nie przyjmie, przeto wypada, odjeżdżając, ofiarować gospodarzowi jakiś drobny przedmiot. Nie można mu zrobić większej przyjemności, jak ofiarując stary rewolwer. Tylko to ostatnie jest połączone z pewnem niebezpieczeństwem, bo obdarowany arab strzela wówczas na wiwat, aż wystrzeli wszystkie naboje. Wiadomo zaś, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi — i tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam, że *mokkadem-el-hana* plemienia Beni-M'gorah, u którego byłem w gościnie, w analogicznym wypadku trafił nie we mnie, ale w drzewo figowe, o dwa cale w bok od mego lewego ucha.

*

### Polowanie na szakale.

Właściciel jednej z największych firm eksportowych w Mogadorze, sr. don Manuel Ratto, zaprosił mnie do swej haciendy, zwanej *dar-el-ynchla* (domek palmowy), położonej już na samym pograniczu z pustynią. Tu zdarzyło mi się wybrać na nocne polowanie na szakale, których w okolicy pełno, tak że podchodzą często aż pod sam mur zewnętrzny, którym opasaną jest hacienda.

Wieczór był jasny, księżycowy, a blask miesiąca złocił w fantastyczne arabeski skromne nagrobki kamienne na dawnym cmentarzu mauretańskim, gdzieśmy zasiedli na czatach, przylepieni do starego, sypiącego się muru. Stary Mahomed, strzelec don Manuela, przyniósł związane młode koźlę i położył je na ziemi o jakie dwadzieścia kroków przed nami, aby bekiem swoim zwabiło szakali. Przed nami leżała równina płaska, biegnąca w nieskończoność, biała, kamienista, oświecona mosiężnym blaskiem księżyca. Nad głowami sterczały nam liście kolczastych kaktusów, i myśmy byli do nich podobni, bo zastygliśmy niejako w oczekiwaniu, mając wytężony wzrok na równinę. Tak przeszedł kwadrans, pół godziny, godzina, i ciszę przerywało tylko od czasu do czasu żałośne beczenie koźlęcia, myśmy zaś siedzieli milcząco i nieruchomo, bo najlżejszy szmer może spłoszyć czujnych grabarzy pustyni. Wtem stary Mohamed ścisnął mnie za rękę, bo poczuł szakala, i w chwilę później w ciszy nocnej rozległo się szczekanie, podobne do psiego, ale głębsze. Snadź szakal zwietrzył koźlę, bo nawoływał towarzyszów do łupu. W pomroce nocnej odpowiedziały mu inne głosy, i słychać było rzadkie, urywane szczekanie, niby nawoływanie się krążących patroli.

Nagle kamień, na którym wsparł się ręką don Manuel, oderwał się od muru i potoczył się z łoskotem na ziemię i w tej chwili ucichło szczekanie, bo spłoszone szakale pierzchły, zwietrzywszy niebezpieczeństwo. Próżno siedzieliśmy znowu w nieruchomem milczeniu dobre półtorej godziny, a zgłodniałe koźlę beczało coraz częściej i głośniej; musieliśmy wracać, jak niepyszni do domu, i dopiero trzeciego wieczora udało mi się zastrzelić szakala, co podszedł do nas o jakie 30 kroków.

*B. Z. Bouffałł.* („Kraj“).



WIEŻA KOŚCIELNA w GDOWIE, na której ks. Ignacy Długoszowski kapelan powstańców przebywał przez trzy dni i nocy o chłodzie i głodzie, chroniąc się przed Benedekiem.

---

## PAMIĄTKI Z GDOWA.

Miasto Gdów smutnie się zapisało w pamięci naszych porozbiorowych dziejów.

Mimo smutnego doświadczenia z r. 1831 naznaczono termin wybuchu powstania w W. Ks.

Poznańskim i Galicji na dzień 21. lutego 1846. Ogniskiem ruchu było tym razem wolne miasto Kraków, w którem dyktaturę objął Jan Tyssowski, a naczelne dowództwo Edward Dembowski po stoczeniu 20. lutego ulicznej walki z trzytysięcznym oddziałem wojska austrjackie-



Ks. IGNACY DŁUGOSZOWSKI, kapelan powstańców.

go pod wodzą generała Collina, który przerażony pogłoskami o szerzeniu się powstania, cofnął się na Podgórze. W tym to czasie doszła do Krakowa wieść groźna, że lud, w którego interesie walkę podjęto, podburzony przez niemieckich urzędników wziął zaraz za cepy i widły i rzucił się przeciw powstającej szlachcie. Tyssowski spiesząc szlachcie z pomocą, wysłał oddział ochotników złożony z 200 jezdnych pod wodzą Suchorzewskiego w stronę najbardziej zagrożoną ku Bochni i Tarnowu.

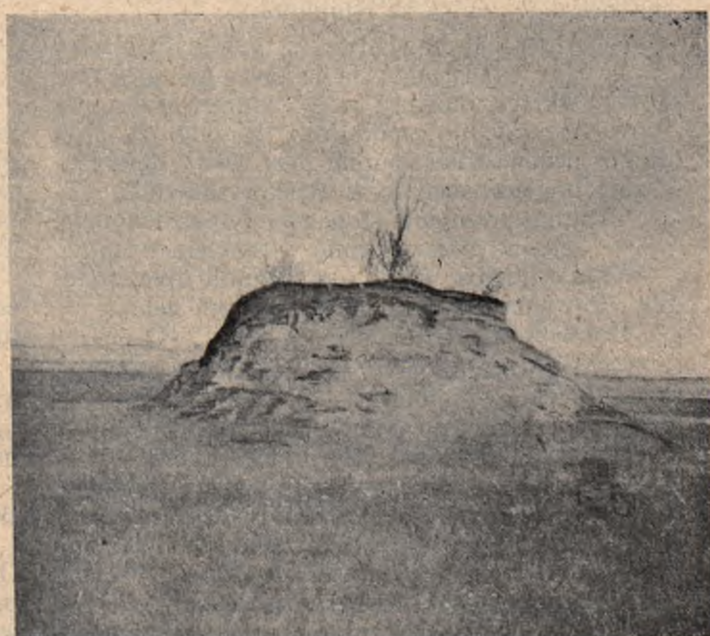
Oddział zatrzymał się w kościele w Wieliczce, wziął udział w nabożeństwie i wysłuchał patrjotycznego kazania, które wygłosił ówczesny wikarjusz, gorący patrjota polski, ks. Ignacy Długoszowski zmarły następnie w Pilznie 30. maja 1890 roku.

Dokładne pamiętniki z tych dni spisane po niemiecku przez jednego z urzędników salinarnych a przechowane w archiwum parafialnem w Wieliczce, wykazują jaki popłoch wśród ogółu powstanie szerzyło; część urzędników obcokrajowych wyemigrowała, część skryła się w podziemiach, inni siłą ciekawości gnani w czasie kazania zmieszani z oddziałem, podnosili ręce do góry na wezwanie kaznodziei przy składaniu ślubowania w obronie ojczyzny. Następnie oddział posunął się ku Gdowu i od strony wsi Bilczyce rozłożył się obozem w karczmie przydrożnej i kilku domach. Tutaj niespodziewanie napadła nań znaczniejsza siła wojska austrjackiego połączona z chłopstwem uzbrojonem w cepy i kosy, którym dowodzący podpułkownik Benedek przyrzekł za głowę każdego powstańca cetnar soli i dwa cwancygiery. — Wynik starcia musiał wypaść na niekorzyść powstańców mimo ich nadludzkich wysiłków. Zaledwie garstka uszła w pospiechu poza Wieliczką ku Krakowu, za nią pędziło zaciekłe chłopstwo. Ks. Długoszowski, który jako kapelan szedł z oddziałem, schronił się na wieżę kościoła w Gdowie i tam trzy dni i nocy przebył o głodzie wśród zimy ciężkiej. Gdy skostniały z zimna i głodu wydawał jęki, odnalazła go służba kościelna. Niedługo potem dostał się do więzienia w Spielbergu, gdzie przebył do chwili amnestji wspólnie z ś. p. kardynałem Dunajewskim, Józefczykiem i wielu innymi patrjotami.

Mogiła w pobliżu cmentarza w Gdowie zarosła zielem i chwastem, kryje zwłoki ofiar powstania.

* * *

Zajmujący opis ówczesnych wypadków znajdą Czytelnicy w artykule „Winowajcy“.



Mogiła poległych w Gdowie w r. 1846.

CONON DOYLE.

# TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

**Dziwne przygody Sherlocka Holmes.**

Przekład z angielskiego

**EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.**

(Ciąg dalszy).

— Jakim sposobem dowiedziałeś się, że ta kobieta jest jego żoną? — spytałem.

— Dzięki temu, że on sam wyjawił ci pewien szczegół ze swego życia; sądzę, że musiał żałować tej nieostrożności. Przy pierwszem z tobą spotkaniu mówił, że kierował kiedyś szkołą w północnej Anglji. Otóż nie ma nic łatwiejszego, jak wytropić nauczyciela. Istnieją agencje szkolne, za pomocą których można dowiedzieć się szczegółów z życia każdego nauczyciela, a tembardziej kierownika zakładu. Po krótkiem badaniu stwierdziłem, że jedna szkoła została zamknięta z powodu okropnych nadużyć. Nazwisko jej kierownika było inne; ten człowiek zniknął bez śladu. Rysopis zgadzał się, a gdy jeszcze dowiedziałem się, że ów przełożony oddawał się z zapałem entomologji, nie miałem już żadnych wątpliwości.

— Jeżeli ta kobieta jest istotnie jego żoną, jakiż jego stosunek do pani Lyons?

— Twoja rozmowa z tą damą rzuciła właśnie światło na ten punkt ciemny. Nie wiedziałem, że pani Lyons chce się rozwodzić. Widocznie ma nadzieję wyjść za Stapletona.

— A gdy się zawiedzie w tych nadziejach?

— Ha! wtedy odda się na nasze usługi. Przedewszystkiem musimy obaj widzieć się z nią jutro. Ale czy nie znajdujesz, Watson, że zbyt długo pozostawiłeś pupila bez swej opieki?... Twoje miejsce obecnie w Baskerville-Hall.

Ostatnie promienie słońca gasły na zachodzie.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekłem wstając. — Wszak między nami nie powinno być sekretów. Powiedz mi, jaki ma on w tem cel?

Holmes zniżył głos.

— Jego celem jest... morderstwo — chłodne, wyrafinowane — odparł. — Nie pytaj mnie o szczegóły. Oplątuję go w sieci, tak, jak on — sir Henryka. Jednego tylko obawiam się, a mianowicie, żeby on nie wykonał swego zamiaru, zanim będziemy gotowi do walki. Jeszcze jeden dzień, dwa najwyżej, a będę w stanie zmierzyć się z tym łotrem, ale tymczasem strzeż sir Henryka; żałuję nawet, żeś go dziś opuścił.

Straszny jęk przerwał ciszę. Krew zamarła w mych żyłach.

— Co to takiego? — zawołałem.

Holmes zerwał się na nogi, wybiegł przed jaskinię, nastawił ucha.

— Cicho! — szepnął — cicho!

Ten sam jęk powtórzył się bliżej, dźwięczał w nim strach i ból.

— Skąd to dochodzi? — spytał Holmes szeptem.

— Zdaje mi się, że ztamtąd — odparłem, wskazując na lewo.

— Nie, nie — zaprzeczył.

I znowu rozdarł ciszę okrzyk, pełen rozpaczy i trwogi. Towarzyszył mu teraz dziki pomruk.

— To pies! — zawołał Holmes. — Biegnijmy na pomoc! Prędzej! Prędzej!

Rzucił się naprzód, ja za nim. Po raz trzeci, do uszu naszych doleciał jęk i straszne warczenie. Stanęliśmy, nasłuchując. Znowu zaległa cisza.

Holmes załamał ręce. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak bezradnym.

— Zapóźno już, zapóźno!... — mówił z rozpaczą. — Że też siedziałem tu, jak bałwan, z założonemi rękoma! A ty, jak mogłeś wypuścić z opieki sir Henryka!...

Biegliśmy dalej wśród ogarniającej nas mgły i coraz większych ciemności.

— Czy nic nie widzisz? — spytał mnie Holmes.

— Nie — odparłem.

— A to co takiego? — zawołał nagle.

Dało się słyszeć rzężenie. Dolatywało z po za nagiej skały, sterczącej przed nami. Podbiegliśmy i oczom naszym przedstawił się straszny widok. U stóp skały, twarzą do ziemi, z rozpostartemi rękoma, leżał mężczyzna już martwy. To rzężenie było jego ostatnim oddechem.

Potarłem zapałkę — w jej świetle ujrzeliśmy coś od czego krew zastygła nam w żyłach: martwe zwłoki sir Henryka Baskerville.

Znaliśmy obaj kraciasty garnitur — ten sam, w którym ukazał się nam po raz pierwszy w mieszkaniu Holmesa. Zapałka, zgasła a z nią nadzieja w naszych sercach.

— Nie daruję sobie nigdy, żem go zostawił samego... — szepnąłem.

— Ja jestem jeszcze winniejszy, Watson. Dla „zaokrąglenia" i „uzupełnienia" dowodów naraziłem życie mojego klienta... Jest to największy cios, jaki mnie kiedykolwiek spotkał w moim fachu!... Ale skąd mogliśmy przewidzieć, że mimo naszych próśb i ostrzeżeń puści się sam na to przeklęte bagno?...

— I pomyśleć, że słyszeliśmy jego jęki i nie mogliśmy nadbiedz mu z pomocą... Gdzież jest

ten pies przeklęty? Lada chwila może wyskoczyć z za skały... A gdzie Stapleton? Pociągniemy go do odpowiedzialności!

— Tak, nie omieszkam tego uczynić — mówił Holmes. — Stryj i synowie zostali zamordowani! — to nie ulega wątpliwości. Jednego wystraszono na śmierć samym widokiem tego zwierza, które wziął za nadprzyrodzone zjawisko; drugi spadł ze skały, uciekając przed tym potworem... Ale trzeba wykazać łączność pomiędzy psem i jego ofiarą. Jakże dowiedziemy istnienia tego czworonożnego potwora?... Sir Henryk umarł widocznie skutkiem upadku. Ale pomimo całej swej przebiegłości, Stapleton nie wymknie się z rąk policji!...

Staliśmy nad zwłokami, bezradni wobec katastrofy, która obróciła w niwecz wszystkie nasze zabiegi. Wreszcie zeszedł księżyc; weszliśmy na szczyt skały, z której spadł nasz nieszczęśliwy przyjaciel i ogarnęliśmy okiem ponurą płaszczyznę, osrebrzoną teraz łagodnym blaskiem księżyca.

Daleko, w stronie Grimpen-Mire, błyszczało żółte światełko. Płonęło ono niewątpliwie w domu Stapletona. Zacisnąłem pięść w bezsilnym gniewie.

— Aresztujmy go zaraz! — krzyknąłem.

— Nie mamy jeszcze dowodów — przekładał Holmes. — Ten nędznik jest przebiegły, potrafi się bronić. Chodzi nie o to, co wiemy, lecz o to, co zdołamy dowieść. Jeden krok fałszywy, a wyśliźnie nam się pomiędzy palcami.

— Cóż nam teraz pozostaje?

— Będziemy radzili jutro; dziś trzeba pomyśleć o oddaniu ostatniej posługi przyjacielowi.

Zeszliśmy ze skały i zbliżaliśmy się do zwłok, oświetlonych teraz księżycem.

— Trzeba sprowadzić ludzi — rzekłem. — We dwóch nie przeniesiemy go do Baskerville-Hall. Co ci jest? Czyś oszalał?...

Holmes, patrząc na trupa, śmiał się, ręce zacierał. Cóż się stało mojemu przyjacielowi, tak poważnemu zazwyczaj?...

— Broda! Broda! Ten człowiek miał brodę! — wołał.

— Brodę? — podchwyciłem.

— To nie sir Henryk. To mój sąsiad — skazaniec!

Z gorączkową skwapliwością odwróciliśmy zwłoki twarzą do księżyca. Nie było wątpliwości: skrwawione czoło, zapadłe oczy, ruda broda — tak to Seldon.

W jednej chwili zrozumiałem, jak się rzeczy miały. Baronet mówił mi, że swoją starą garderobę ofiarował Barrymorowi. Widocznie Barrymore, na prośbę żony, obdarzył nią Seldona, aby mu ułatwić ucieczkę. Buty, czapka, garnitur — wszystko było sir Henryka. Straszny los spotkał więźnia, ale ten człowiek zasłużył na karę i byłby ją poniósł z ramienia sprawiedliwości. Wytłómaczyłem Holmesowi przyczynę naszej pomyłki.

— To ubranie jest powodem śmierci Seldona — rzekł. — Oczywiście przyuczano psa poznawać sir Henryka po odzieży. Rozumiem teraz, dlaczego but znikł z hotelu; pies zwęszył zapach ubrania na skazańcu i gonił go. Jedno tylko mnie zastanawia: jakim sposobem Seldon wśród ciemności mógł wiedzieć, że go pies ściga?

— Słyszał warczenie, tak jak my.

— Samo warczenie psa nie wystraszyłoby go tak dalece, żeby wzywał pomocy, zdradzając swą obecność i narażając się, że go schwytają strażnicy. Z jego okrzyków miarkuję, że odbiegł spory kawał od miejsca, z którego pies go spłoszył.

— A ja nie rozumiem, dlaczego ten pies został spuszczony dziś właśnie. Sądzę, że nie zawsze jest na swobodzie. Jeżeli Stapleton spuścił go z łańcucha, to chyba spodziewał się, że sir Henryk będzie przechodził przez bagno.

— Cóż teraz zrobić z tym trupem? Niepodobna zostawić go tutaj na pastwę dzikiego ptactwa.

— Najlepiej złożyć go w jednej z jaskiń, dopóki nie uwiadomimy policji.

— Masz słuszność — przyznał Holmes. — Udźwigniemy go chyba we dwu? Ale patrz... Watson... to *on!*... Co za zuchwalstwo!... Ani słowa przed nim o naszych podejrzeniach... ani słowa! bo inaczej, wszystkie moje plany pójdą w niwecz.

Ujrzałem światełko cygara. W blasku księżyca widziałem wyraźnie drobną postać naturalisty. Spostrzegłszy nas, zatrzymał się, ale po chwili szedł dalej.

— Kogo ja widzę! — rzekł. — Jeśli mnie oczy nie mylą, doktor Watson. Nie spodziewałem się spotkać pana tutaj... Co to takiego?... Ktoś został ranny... Nie, to niepodobna... Nasz przyjaciel, sir Henryk!...

Podbiegł i nachylił się nad zwłokami. Słyszałem jego oddech przyspieszony, cygaro z rąk mu wypadło.

— Kto to? Kto to taki? — szeptał.

— To Seldon, więzień, który zbiegł z Princetown.

Stapleton zbladł okropnie, ale nadludzkim wysiłkiem zapanował nad uczuciem gorzkiego zawodu. Przenosił wzrok z Holmesa na mnie i ze mnie na Holmesa.

— Co za okropna sprawa! — mówił. — Jakże on umarł?

— Skręcił kark, spadając z tej skały. Spacerowałem właśnie z moim przyjacielem, gdy doleciał nas krzyk przeraźliwy.

— I ja ten krzyk słyszałem. To właśnie sprowadza mnie tutaj. Byłem niespokojny o sir Henryka...

— Dla czego właśnie o sir Henryka?... — spytałem.

— Bo miał przyjść do mnie. Ponieważ się spóźniał, wyszedłem na jego spotkanie i wtedy

usłyszałem okrzyk... Ale, prawda... — i znowu przeniósł wzrok z mojej twarzy na twarz Holmesa — czyście panowie nie słyszeli nic więcej, oprócz tego okrzyku?

— Nie, a pan? — spytał Holmes.

— I ja nie.

— Więc co znaczy to pytanie?

— Myślałem o legendach, krążących wśród wieśniaków... Podobno słychać szczekanie wśród nocy... Byłem ciekawy, czy i teraz rozlegały się podobne dźwięki...

— Niceśmy nie słyszeli — odparłem.

— A jak panowie tłómaczą sobie śmierć tego łotra?

— Przypuszczam — mówiłem — że coś go wystraszyło; uciekał, biegł na oślep, aż mu się noga powinęła i spadł z tej skały głową na dół. Zabił się na miejscu, bo skała wysoka i z tej strony prostopadle spuszcza się w kotlinę; druga jej strona łączy się z płasko-wzgórzem. Biegnąc więzień w przerażeniu swem nie spostrzegł, że stoi nad przepaścią.

— To bardzo prawdopodobne — przyznał Stapleton i westchnął z widoczną ulgą, jak gdyby kamień spadł mu z serca. — A cóż pan o tem myśli, panie Holmes?

— Przypuszczam to samo, co mój przyjaciel.

— Spodziewaliśmy się pana od chwili, gdy zjechał tu doktor Watson. Zjawiasz się pan w chwili tragicznej...

— Mam nadzieję, że wyjaśnienie mojego przyjaciela zostanie uznane jako jedynie możliwe. Bądź co bądź, wracając jutro do Londynu, wywiozę stąd przykre wspomnienie...

— Więc pan wraca jutro?

— Taki mam zamiar.

— Spodziewam się, że pańskie badania rzucą światło na tajemniczą sprawę, która zajmuje nas od kilku miesięcy.

— A ja wątpię — odrzekł Holmes z doskonale udaną szczerością. — Detektyw w swoich wywodach zwykł opierać się na faktach, nie zaś na legendach ludowych. To sprawa trudna i zawiła. Nie spodziewam się jej rozwikłać.

Stapleton spojrzał na niego bystro, potem zwrócił się do mnie:

— Chętniebym zaproponował przeniesienie tego biedaka do nas, ale boję się wystraszyć siostrę. Najlepiej Seldonowi twarz zakryć, a zwłoki będą bezpieczne do jutra rana.

Takeśmy też zrobili. Stapleton zapraszał nas do siebie, ale wymówiliśmy się i obaj podążyliśmy do Baskerville-Hall. Naturalista powrócił sam.

— Trzymamy go już prawie... — mówił Holmes. — A jaka przytomność umysłu! Co za zimna krew!... Jak śmiało patrzał na zwłoki tego, którego uważał za swoją ofiarę!... Mówiłem ci już w Londynie, a teraz powtarzam, że nie miałem jeszcze tak groźnego przeciwnika.

— Żałuję, że nas widział.

— I ja żałowałem w pierwszej chwili; ale nie było innej rady.

— Jak sądzisz: czy świadomość, że jesteś tutaj, wpłynie na jego plany?

— Zmusi go do ostrożności, a może skłoni do ostatecznych czynów. Jak wielu mądrych zbrodniarzy, jest zapewne zbyt zaufany w swoim rozumie i wyobraża sobie, że nas w pole wywiedzie.

— I czemuż nie aresztujemy go zaraz?

— Drogi Watson, ty jesteś stworzony na człowieka czynu. Pierwszym twoim popędem jest — działać. Ale przypuściwszy, że go aresztujemy dziś wieczorem, cóż nam z tego przyjdzie? Nie zdołamy mu nic dowieść. Gdyby mu dopomagał człowiek, moglibyśmy znaleźć dowody; ale choćbyśmy odszukali psa, nie pomoże nam zaciągnąć pętlicy na szyi swego pana.

— Mamy przecież dowód.

— Ani jednego, same tylko przypuszczenia i wnioski. Sąd wyśmiałby nas, gdybyśmy stanęli wobec niego z takim materjałem dowodowym.

— Wszak możemy się powołać na śmierć sir Karola...

— Znaleziono go martwym bez żadnych śladów gwałtu, bez ran i skaleczeń. Obaj wiemy, że umarł z przestrachu, wiemy także, kto go wystraszył, ale w jaki sposób przelejemy tę wiarę w dwunastu sędziów przysięgłych?... Jakież ślady pies pozostawił na zwłokach?... Naturalnie, wiemy, że żaden pies nie ruszy martwego ciała; wiemy dalej, że sir Karol wyzionął ducha, zanim go dogoniło to dzikie zwierzę. Wiemy, ale powinniśmy tego *dowieść* — a nie potrafimy.

— Fakt, który się zdarzył dzisiaj, nie jestże ważną poszlaką?

— Nie zdołamy wykazać związku pomiędzy psem a śmiercią tego człowieka. Zresztą nie widzieliśmy psa; słyszeliśmy go tylko, a nie możemy dowieść, że gonił Seldona lub kogobądź. Nie, mój drogi, musimy pogodzić się z myślą, że trzeba czekać i działać z ukrycia.

— Jakie masz plany?

— Spodziewam się wiele po pani Lyons i mam nadzieję, że jutro pozyskamy choć jeden dowód.

Nie mogłem go skłonić do wyrażenia jaśniej swych zamiarów. Szedł w milczeniu aż do samego pałacu.

— Czy wejdziesz? — spytałem.

— Ma się rozumieć; dalsze ukrywanie się jest zbyteczne. Słuchaj, Watson: nie wspominaj sir Henrykowi o psie. Wszak baronet został zaproszony jutro na obiad do Stapletonów?

— I mnie prosili.

— Musisz się wymówić. On pójdzie sam. To łatwo urządzić. A teraz chodźmy. Spóźniłeś się wprawdzie na obiad, ale przybywamy w samą porę na kolację. (C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.